

LIRA
WYDAWNICTWO

O S K A R
SALWA



INGA

STREFY
ZAKAZANE

*Światowy spisek. Polska prowincja. I tylko ona wie,
kto tu łamie regulamin...*

INGA

STREFY
ZAKAZANE

O S K A R
SALWA

INGA

STREFY
ZAKAZANE

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-33-9

DZIEŃ I

Jankesi jadą! Chwyliła mocno w drobną dłoń dźwignię i zaciągnęła ręczny hamulec, zatrzymując się na wzniesieniu bocznej drogi, która krzyżowała się z główną szosą. Sunęła po niej kolumna wojsk. Gąsienice opancerzonych maszyn US Army chrzęściły w zapadającym mroku. Długi sznur pojazdów przesuwał się niespiesznie. Podążał w kierunku

północno-wschodnim. Był już blisko celu, podobnie jak Inga, która czekała w swoim białym SUV-ie na zagranicznych numerach, aż będzie mogła przeciąć jezdnię i ruszyć dalej. Obiło się jej o uszy, że chłopcy z amerykańskiej brygady mieli udzielić Polsce sojuszniczego wsparcia i mieć, zdaje się, baczenie na cały region. Jednak w Szwajcarii, skąd przybywała, mało na ten temat mówiono. W Szwajcarii ludzie żyli innymi sprawami. W Szwajcarii nie trzeba było martwić się tym, co dzieje się w Europie.

Postój się przedłużał, więc jeszcze raz zerknęła na kartkę czerpanego papieru, która leżała obok, na pustym fotelu pasażera, przygnieciona pudełkiem napoczętych czekoladek. Kiedy była przejazdem w Warszawie, u mecenasa Raszewskiego, narysował jej na papeterii swoim drogim piórem trasę najkrótszego dojazdu do Gutów. Starszy pan strasznie bazgrał, ale, faktycznie, dał jej cenne wskazówki, dzięki którym zaoszczędziła drogi. Powinna dotrzeć na miejsce mniej więcej za dwie godziny. Gdyby korzystała z GPS-a, siedziałaby za kółkiem pewnie jeszcze grubo po dwunastej w nocy.

W szarówce, która spłynęła na okolicę, zaczął niktąć błyskający kogut auta zamykającego kolumnę. Żołnierz z opaską Żandarmerii Wojskowej na ramieniu podszedł do samochodu Ingi i dał znak, że może w końcu jechać. Przekroczyła szosę. Trasa, wyznaczona przez pana mecenasa, coraz bardziej się zwężała. Jakieś furgonetki, pędzące z naprzeciwka, niemal otarły się o bok SUV-a. Innym razem prawie wylądowała w polu, gdy musiała uskoczyć w bok, przed raptownie wyprzedzającą ją ponad pięciotonową ciężarówką. Jak na podrzędną drogę panował tu zbyt duży, zbyt nerwowy ruch. Z każdym kilometrem widok za oknem auta stawał się coraz bardziej ponury. Zaczęły się tereny zdewastowanej, poradzieckiej zony wojskowej, czekającej na nowy zaciąg z drugiego końca świata. Zza wysokich, niekoszonych całymi miesiącami traw gdzieś wystawały płaskie, złuszczone dachy opuszczonych budynków, straszących czarnymi otworami po oknach. Widać było też konstrukcje nieczynnych radarów, z daleka przypominające wielkie, ażurowe formy przestrzenne z biennale. Okolica robiła przynębiające wrażenie, lecz zarazem pociągała swoją nieprzyjazną dziwnością.

Dobrze, że Inga zabrała do Polski sprzęt fotograficzny. Pomyślała, że może znajdzie chwilę, aby pokręcić się z aparatem wokół Gutów. Ta na poły wojskowa, na poły dzika strefa wydawała się w sam raz na czarno-biały, nieco odrealniony fotoreportaż. Miała przy sobie najwyższej jakości japońską lustrzankę cyfrową. Był to gwiazdkowy prezent od Matthiasa. Uznał, że w dobrym tonie byłoby, gdyby jego żona zajęła się artystycznym hobby. Robienie zdjęć nadawało się do tego idealnie; pasowałoby małżonce architekta o międzynarodowej sławie. Aparat wręczył Indze w piękny świąteczny poranek, gdy świeży śnieg iskrzył się w ostrym, alpejskim słońcu. Jednak nie spędzili tamtego dnia wspólnie. Matthias ulotnił się przy pierwszej nadarżającej się okazji. Garażowa brama otworzyła się bezgłośnie. Inga, stojąc na tarasie widokowym, którego przeszklona bryła wydawała się wyrastać ze skały i unosić wbrew prawom fizyki w powietrzu, widziała, jak szybko włączył się do ruchu, kierując się na odległą Lucernę. Śpieszył się do którejś ze swoich nowych kochanek. Jedyne, co Indze wtedy pozostało, to rozsiąść się w salonie przed kominem i nalać sobie whisky do szklanki. Nie pierwszy

raz zostawała sama, niczym w domowym areszcie, którym była zaprojektowana przez Matthiasa imponująca górська willa; *chalet* w stylu modern; willa uznana przez branżę architektoniczną za najlepszy dom roku. W związku z Matthiasem nie pozostało jej wiele do roboty. Wystarczyło, że grała rolę dystygowanej żony znanego męża. Dlatego miała dość czasu, aby sięgać po alkohol częściej, niż powinna. Od Matthiasa była młodsza o dwadzieścia lat. Stuknęła jej czterdziestka. Czuła, że w tym wieku nie warto się już szarpać. Lepiej strzelić sobie kielicha i zapomnieć.

Zrobiło się całkiem ciemno, a drogi nie ubywało. Inga zaczęła wątpić we wskazówki autorstwa mecenasa Raszewskiego. Była przekonana, że się zgubiła. Zdjęła nogę z gazu, choć i tak jechała już wolno. Mógłby ją dogonić listonosz na rowerze, jeśli w ogóle egzystują jeszcze gdzieś listonosze na rowerach. Usiłowała uruchomić GPS, ale system nawigacji satelitarnej nie chciał się włączyć. Kiedy wpatrywała się w niewielki ekran, licząc, że zaraz zlokalizuje swoje położenie, raptem coś huknęło. Zatrzymała auto. Miała wrażenie, jakby wielki

konar spadł na maskę SUV-a. Nie zdążyła wyjść, żeby sprawdzić, co się stało, gdy w przedniej szybie auta przez ułamek sekundy mignęła jej z bliska jakaś twarz, a po chwili zaczęło się nerwowe szarpanie za klamkę drzwi samochodu. Od razu pomyślała, że kogoś potrąciła, więc wiele się nie zastanawiając, zwolniła blokadę i już po sekundzie miała na fotelu obok faceta, który odchylił do tyłu głowę i ciężko westchnął. Śmierdział wódką. Nie wpadł pod koła, tylko wymyślił sobie, że skoczy na wolno toczące się po drodze auto, żeby je zatrzymać.

— *Spasiba* — chrząknął. — Można jechać — do-
dał po polsku.

Wyglądał staro, lecz nie sposób było określić, w jakim był wieku. Gębę miał zmęczoną, wykrzywioną od gorzały. Zapadłe policzki pokrywał kilkudniowy, ostry zarost. Z kieszeni kurtki wyjął butelkę i wziął solidny haust samogonu. Inga przełknęła nerwowo ślinę. Też golnęłyby sobie dla kurażu. Rzucił na nią okiem i zauważył, że była przestraszona.

— Nie bój się, *doczka* — powiedział.

Miał silny wschodni akcent.

— Podwieź mnie do domu.

— Gdzie my jesteśmy? — Inga spytała niepewnie.

Ponownie pociągnął z flaszki. Wylał rękawem spieczoną od bimbrowi wargi. Facjatę przeciął mu grymas, który przy odrobieniu dobrej woli można było uznać za uśmiech.

— W Gutach, kurwa, jesteście. W Gutach.

* * *

Zapadnięta brama wjazdowa była jak zwykle otwarta. Dom stał na pagórku, nieco na uboczu wsi. Półkozaki z cienkiej skóry grzęzły w błocie. Pożałowała, że nie wzięła ze sobą treków na grubej podeszwie. Jednak skąd mogła wiedzieć, że się przydadzą. Przecież nie wiedziała, dokąd przyjeżdża. Była tu pierwszy raz w życiu. Oparła walizkę o nieotynkowaną ścianę domu. Obok położyła pokrowiec ze śpiworem. Z kieszeni płaszczka wyjęła prymitywny mosiężny klucz, który otrzymała od Raszewskiego. Obróciła go szybko w zamku. Oto miała przestąpić przez próg domu Krychowiaka.

Chciała, żeby jej przyjazd był wyłącznie formalnością, a mimo to czuła głupią powagę chwili. Weszła do ciemnej sieni, gdzie z sufitu zwisała goła żarówka.

Stuknęła w nią i małe pomieszczenie wypełniło się słabym światłem. Zrobiła kolejny krok. Skradała się niczym złodziejka po pokojach zaledwie przed tygodniem opuszczonych przez gospodarza. Jego obecność była jednak dojmująca. Wydawało się, że zaraz zabrzmi głos zmęczonego mężczyzny po sześćdziesiątce. Powie, bardziej do siebie niż do Ingi, że dobrze, że tu w końcu przyjechała. Dom wzniosł własnym sumptem. Każdą rzecz, począwszy od położenia fundamentów, po zainstalowanie elektryki, zrobił sam, chociaż niedoskonale. Dlatego panowała tu swoista surowość, a wszystko działało na słowo honoru. Ten dom był jak cała okolica — niepokojący i smutny. Krychowiak przelewał w nim litry potu. Podnosił ciężary. Sztanga i żeliwne, wielokilowe talerze rozrzucił po podłodze, jakby przed chwilą skończył trening. Siłacz na emeryturze dbał o formę. Chciał być gotowy na moment, w którym ktoś przypomni sobie o jego istnieniu i odnajdzie starego mistrza w jego samotni. Liczył na to, lecz sam nie robił nic, by tak się stało. Był na to zbyt dumny.

W dużym pokoju — ściana pamięci, a na niej półżółtkłe dyplomy i zaśniedziałe puchary. Trochę tego

było. Inga przemogła irracjonalne onieśmienie. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć najcenniejszego trofeum, czyli medalu olimpijskiego. Złoty krążek miał tyle lat co ona, ale akurat on nie stracił nic ze swego blasku. Dom okazał się całkiem spory. Po chybottliwych, drewnianych schodach wchodziło się na piętro, do ciasnej nadbudówki; klaustrofobicznego gołębnika, tak niskiego, że Inga, choć nie należała do wysokich kobiet, musiała schylić głowę, żeby nie wyrznąć w sufit. Gołębnik pełnił podwójną funkcję: kanciapy do spania i biurowej pakamery. Leżał tu materac, a pod małym oknem ustawione było ładne, dębowe biurko z jakimiś nieuprzätniętymi papierzyskami i kanciastym komputerem. Na oko miał, jak nic, z piętnaście lat. W kąt szurnięta była jeszcze szuflada, która wydała się Indze znajoma, bo była to jej stara szuflada, zavalona wideoskasetami, książkami i magazynami. Wszystkie dotyczyły UFO, gości z kosmosu, pozaziemskich cywilizacji. Łza zakręciła się dziewczynie w oku. Stary przechował jej rzeczy. To musiała zapisać mu na plus. Wśród szpargałów znalazła nawet bzdury pisane przez von Dänikena. Uśmiechnęła się. Przecież ich autor był obywatelem kraju, który stał się jej drugą ojczyzną. Choć

w przypadku Ingi mówienie o ojczyźnie stanowiło pewne nadużycie. Wolała w ogóle nie stosować tego pojęcia. W każdym razie zawartość szuflady przypomniała o dawnych fascynacjach. Jako nastolatka nabiła sobie głowę paranauką na temat UFO. Lubiła kiedyś wpatrywać się w nocne niebo, czekała, aż się rozstąpi, a z góry spłynie wszechpotężny snop atomowej jasności, a razem z nim pojawią się na Ziemi inteligentne istoty z innej galaktyki. I będzie *mañana*. Stare dzieje. Fantazje, które dzieliła głównie z kolegami. Kumpelki jakoś nie miały serca do zielonych ludzików. Tak czy inaczej, nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy te szpargały. W ogóle nie miała pojęcia, że się zachowały. Była ujęta tym, że Krychowiak zadbał o tę szufladę. Naprawdę, akurat za to miał u niej plusa.

Wróciła na dół. Początkowe onieśmienie minęło. Zaczęła się szarogęścić. Z szafki obskrobanego kredensu kuchennego wyjęła napoczęty koniak. Usiadła za stołem. Nadeszła pora, by emocje z całego dnia rozcieńczyć w kilku kropłach aromatycznego, oleistego trunku. Wzięła pierwszy łyk. Odetchnęła. Ciekawe, gdzie na tej wiosze ojciec zaopatrywał się

w takie wystrzałowe VSOP. Była na końcu Euro-py. Pierwszy raz w Polsce od dwóch dekad i akurat w takim dziadowskim miejscu. Należało w dzień lub dwa załatwić sprawy i wracać do alpejskiej bajki, w której występowała w roli fajnej żony genialnego architekta. Wyłożyła na stół kwity, przekazane przez pana mecenasa. Westchnęła. Nie lubiła papierkowej roboty i nie znała się na niej. W Szwajcarii mieli paru księgowych i firmę, zajmującą się obsługą prawną architektonicznej pracowni LA ROCHE. STUDIO. Najważniejsza była teczka z testamentem. Raszewski upierał się, żeby bezzwłocznie zapoznała się z ostatnią wolą Krychowiaka, czyli jeszcze w zaciszu jego gabinetu. Przysunął jej głęboki, pikowany fotel i do cienkiej jak pergamin porcelanowej filiżanki dolał herbaty z dzbanka. Nie miała jednak ochoty czytać testamentu przy adwokacie. Krychowiak spisał wszystko na poszarpanej kartce, ordynarnie wyrwanej z zeszytu. Spisał wszystko krótko i na temat. Zostawił córce cały majątek. Dom i kawałek ziemi w Gutach, a medale kazał przekazać do Muzeum Sportu Olimpijskiego. Megaloman. Została dziedziczką. Zdziwiła się. Nie spodziewała się, że uczyni ją jedyną spadkobierczynią, że w ogóle

wspomni o niej w ostatniej woli. Od tej chwili była więc już u siebie. Posiadała obskurną samowolkę budowlaną w syfiastej pipidowie, otoczonej wielką, wojskową zoną. Potrzebne jej to było jak wrzód na dupie. Trzeba to szybko sprzedać i zapomnieć o temacie, tylko kto chciałby kupić coś takiego, w takim miejscu? Może Ministerstwo Obrony? Postanowiła, że zajmie tematem Raszewskiego. Niech staruszek pokombinuje. Sprawiał wrażenie człowieka obytego, który ma wszędzie dojścia. Zapewniał Inge, że zawsze może liczyć na jego pomoc. Dżentelmen z Nowego Świata będzie miał więc okazję się wykazać.

Ogromny bojler zajmował pół łazienki. Na szczęście działał bez zarzutu. Z kranu do żeliwnej wanny polał się wrzątek. Na zakończenie dnia Indze należała się rozluźniająca kąpiel. SPA to nie było, ale nie narzekała. Na dobranoc przejrzała się jeszcze w lustrze. Zawsze, gdy widziała swoje odbicie w jakimś nowym miejscu, nieważne czy w apartamencie Ritza, czy na wsi, gdzie gawrony mają pętlę, patrzyła na siebie świeżym okiem. Krytycznie. Teraz miała przed sobą nieco zmęczoną podróżą krótko ostrzyżoną blondynkę o z lekka zawianym obliczu,

generalnie zgrabną po mamie, lecz zarazem nieco zbyt muskularną po tacie, w sumie ryczącą czterdziestkę, ale muszącą się naprawdę pilnować, by za parę lat móc jeszcze wzbudzać zainteresowanie młodszych kolesi. Wdrapała się do gołębnika i na materacu rozłożyła śpiwór. Kupiła go tuż przed wyjazdem w alpinistycznym sklepie, niedaleko willi, w której mieszkała. Obsługiwał w nim opalony, permanentnie uśmiechnięty chłopak. Naciągnął Inge na warty fortunę termośpiworek, jaki przydałby się jej na Lhotse, ale nie tutaj. Zanim zamknęła oczy, zabrzączał telefon komórkowy. Matthias wysłał Indze SMS-a. Wiadomość tekstowa doszła dopiero teraz, mimo że pochodziła sprzed półtorej godziny. Zawierała kurtuazyjne pytanie, czy u Ingi wszystko w porządku. Odpowiedź brzmiała: „Ok”, ale nie sposób było jej od razu przekazać. W Gutach ewidentnie nawalał zasięg. Odcięta od świata, postanowiła zasnąć w trymiga. Gdzieś w oddali warczały wozy bojowe, a czarne niebo przeszywały snopy z lotniczych reflektorów. Jankesi uruchamiali nieczynne od lat pobliskie lądowisko.

DZIEŃ II

Wstała rano lewą nogą. Nie wyspała się. Całą noc budziła ją symfonia obcych odgłosów przewalających się po okolicy. Za oknem słyhać było metaliczne skrzypienia, jakby ktoś uruchomił od stu lat nieużywane ramię dźwigu. Piski były takie, że

nawet John Coltrane by się przy nich schował. Tak brzmiały tryby wojskowej maszyny na wielkiej mapie strategicznych posunięć. I nic nie można było na to poradzić.

Za oknem siąpił deszcz. Dzień zapowiadał się beznadziejnie. Inga była głodna. Lodówka Krychowiaka straszyla pustymi drutami. Znalazła tylko pudło odżywek dla strongmanów. Jak on mógł jeść tę wstrętną paszę, czy historia sprzed lat nie nauczyła go rozsądku? Na śniadanie należała więc sobie koniaku do musztardówki. I tyle. Zakręciła się po domu. W dziennym świetle wyglądał jeszcze gorzej niż wieczorem. Burdel był niemożliwy. Widać było, że facet nie miał kobity. Żadna babka nie pozwoliłaby doprowadzić domu do takiego stanu. Po prostu kipisz jak po nalocie służb specjalnych. Wszystko należałoby wywlec na podwórko i spalić, niech płomienie pochłoną smutną przeszłość. Okazało się, że za domem stała koślawa szopa. W środku było zaparkowane dwudrzwiowe polo. Straszny rzęch. Kluczyki były w stacyjce, więc Inga wyjechała nim na zewnątrz, a w szopie zaparkowała SUV-a. Nie chciała, żeby mókł na dworze. Matthias kupił

jej nowy wóz parę miesięcy temu. Na pocieszenie. Żeby nie było jej przykro z powodu jego kolejnej kochanki. Auto było w stylu Ingi. Nowobogackie. Ale świetnie się prowadziło. Wręcz płynęło po drodze.

Trochę się przejaśniło. Pomyślała o zakupach. Gdzieś musiał być tu jakiś sklep. Postanowiła się więc przejść. Od samego rana w Gutach nie działo się nic. Inga myślała, że w takich miejscowościach ludzie zapieprzają dwadzieścia cztery godziny na dobę, a tymczasem panowała dziwna, głucha martwota. Guty zdawały się wymarłe. Żadnych ludzi ani zwierząt, nie licząc jednego kundla truchtającego skrajem ulicy. Na podwórkach rdzewiały nieużywane maszyny rolnicze. Pożałowała, że wybrała się piechotą, bo na takim spacerze można było sobie otworzyć żyły z rozpachy.

W perspektywie zamajaczyły wielkie maszty nieczynnego radaru. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła w końcu człowieka. Z wprawą akrobaty poruszał się na wysokości po ażurowej instalacji. Rozwieszał na radarze antyamerykański transparent. Pomachał do niej z góry. Był raczej nietutejszy. Na głowę miał naciągnięty kaptur, a twarz zasłaniał bandaną.